

Odkuwanie głów

Szkoła jest wciąż potrzebna, ale nie taka

JACEK ŻAKOWSKI

POLITYKA nr 20 (2907), 15.05-21.05.2013

Zadanie nr 3 w tegorocznym (czyli w 2013 roku) maturalnym teście poziomu podstawowego z języka polskiego brzmiało:

„Określenie horyzont poznania użyte przez autora tekstu w akapicie 2. to

- A. anafora.
- B. metafora.
- C. porównanie.
- D. apostrofa.

Zaznacz poprawną odpowiedź".

Wiecie, co to anafora? Nie wiecie! Nie załamujcie się. Pytałem redaktorów i dziennikarzy - w końcu zawodowo zajmujących się pisaniem - też nie wiedzieli. Po jaką cholerę ma to wiedzieć 325 tys. tegorocznych maturzystów?

Wiele osób uważa, że wiedza nie szkodzi. Nie zgadzam się z tym poglądem. Głupia zbyteczna, niepotrzebna wiedza szkodzi. I to bardzo. W życiu jest coś za coś. Jak się ma coś zbytecznego, to prawie zawsze nie ma się czegoś potrzebnego. Młodzi ludzie w tym roku zdający maturę potrzebują bardzo wielu kompetencji, informacji i umiejętności, żeby dać radę w europejskiej i globalnej konkurencji. Dlatego jako ojciec zwyczajnie sobie nie życzę, żeby mojemu dziecku za moje pieniądze zwracano głowę takimi głupotami. Jeżeli szkoła nie ma nic mądrzejszego do zaproponowania dzieciom, to niech już lepiej pobawią się w Indian albo położą po drzewach.

Jako podatnik jestem wściekły, że moje podatki są, marnowane na zaśmianie głów młodego pokolenia zbędnymi informacjami. Jako obywatel wstydzę się, że moje państwo zadaje młodym Polakom takie głupie pytania i nawet nie rozumie, iż są one głupie. Jako Polak jestem zaniepokojony, że od anafory (i podobnych pytań) będzie zależało, kto się dostanie na studia lub na jakie, czyli co się z nim dalej stanie, kim będzie mógł zostać w przyszłości i jaki będzie mógł mieć wkład w życie społeczeństwa.

Najgorsze nie jest jednak to, że państwo zmusza młodzież do odpowiadania na głupie pytania. Najgorsze jest to, że duża część młodzieży prawidłowo na nie odpowiada. Bo prawidłowo nie znaczy w tym przypadku - słusznie. Słuszna odpowiedź na pytanie państwa o anaforę brzmi: „puknijcie się w głowę”. Jeżeli młodzi Polacy w większości nauczyli się, czym jest anafora, to znaczy, że zostali złamani i zgodzili się na aktywny udział w absurdzie. Czyli, że nauczono ich konformizmu. A my dorośli, pozwoliliśmy państwu kaleczyć mózgi i charaktery młodego pokolenia. Nie uchroniliśmy go przed patologicznym systemem.

Od lat ten absurd widzimy. Ale go nie zmieniamy i nie protestujemy. Dlaczego? Prof. Robert Kwaśnica, wybitny pedagog i rektor wrocławskiej DSW, jednej z najlepszych uczelni niepublicznych, nazywa to „przedkrytycznym pogodzeniem się”. Jak mówi: „kulturowa oczywistość systemu sprawia, że godzimy się na wady, uznając je za naturalne”.

Najprościej usprawiedliwiamy to pozornym podobieństwem doświadczeń. Rodzice dzisiejszych uczniów chodzili do takiej szkoły. Dziadkowie też. I jeszcze kilka pokoleń. Bo szkołę w znanym dziś modelu wymyślono jakieś 400 lat temu, a stworzono jakieś 150 lat temu. W epoce Darwina, Pasteura i Mendelejewa. We wdrożonym wówczas i do dziś kontynuowanym modelu program szkolny miał odzwierciedlać aktualny stan wiedzy. Z czasem było to coraz trudniejsze. Dziś jest niemożliwe.

Teoria ewolucji, którą wiek temu dało się zmieścić na jednej stronie książki, dziś nawet po uproszczeniu wymaga bezliku podteorii, zastrzeżeń, zdań warunkowych. A kiedy powstawała szkoła, jaką znamy, ludzkość nie znała szczepionek, elektronów, chromosomów, obu wojen światowych, kilku rewolucji, wszystkich noblowskich powieści, teorii względności, radia, telewizji, kultury masowej, nie mówiąc o Internecie. To wszystko przez półtora wieku chaotycznie dopisywano do programu szkoły, dodając jej lat, godzin i niespójnych erudycyjnych wymagań. Starożytność wszyscy uczniowie przerabiają trzy razy (w podstawówce, gimnazjum i liceum), ale mało kto choć raz dojrnie w pro-gramie historii dalej niż początek PRL. Bo nauczyciele się nie wyrabiają.

Program szkoły stał się imperium absurdu. Szkoła wciąż udaje, że prezentuje młodzieży „stan wiedzy”, a w rzeczywistości przedstawia gigantyczny, przeładowany bez opamiętania erudycyjno-kompetencyjny śmietnik, będący produktem bezliku kompromisów, nawyków, przypadkowych dopisków i skreśleń luźno związanych z dzisiejszym stanem wiedzy i kultury, dalekich od zainteresowań uczniów, realiów i potrzeb współczesnych społeczeństw.

Ogromnym wysiłkiem i za ogromne pieniądze zbudowaliśmy monstrualną edukacyjną fikcję. Nie tylko tkwiącą w świecie dawno minionym, ale też tworzącą pozory nauczania realizowane w systemie 3xZ - „zakuć, zdać, zapamiętać”.

Siadając do pisania matury, uczniowie mają w głowach miliony zakutych informacji - dat, nazwisk, nazw geograficznych, wzorów i terminów z fizyki, chemii, gramatyki, teorii literatury, biologii. Dwa miesiące później mało co z tego pamiętają. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej na studia (egzaminów system uczelniom zakazał) kandydatka legitymująca się szóstkowym (95 proc.) maturalnym wynikiem z geografii pytana, jaki kraj leży w Afryce naprzeciw Sycylii, niepewnym głosem odpowiada: „Australia?”.

Szkolny śmietnik każdy widzi. Także oczy uzbrojone w najwyższe kompetencje. „Obecna chaotyczna, upartyjniona, krótkofalowa, pozbawiona spójności i konsekwencji polityka edukacyjna jest rozczłonkowana, sprzeczna z konstytucyjnymi zasadami demokracji, pomocniczości, równości szans, rozdziału państwa i kościołów” - pisze prof. Zbigniew Kwieciński, przewodniczący Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego. A prof. Maria Czerepaniak-Walczak, pedagog z Uniwersytetu Szczecińskiego i członek Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN, podobnie jak większość uznanych pedagogów, uważa, że „dzieci i młodzież spędzają coraz więcej lat, poznając rozczłonkowane, poczęstkowane, fragmentaryczne obrazy świata, które mogą być użyteczne tylko w egzaminach zewnętrznych i (ewentualnie) w teleturniejach”.

Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę. Dlaczego więc ani uczniowie, którzy obalili ACTA, ani rodzice, którzy pieczołowicie sprawdzają bieżniki w autokarach, nie podnoszą larum, gdy całe pokolenia marnują lata, w których mózg jest najbardziej chłonny i chętny, by go wyposażać w kompetencyjny fundament dorosłego życia? Wybitne profesorki pedagogiki Joanna Rutkowiak (twórczyni uznanej koncepcji „pedagogiki dialogu”) i Eugenia Potulicka,

specjalistka od systemów edukacyjnych, dają przekonującą odpowiedź w książce o wiele mówiącym tytule „Neoliberalne uwikłania edukacji”.

System edukacyjny jest z grubsza taki jak kontekst kulturowy, w którym funkcjonuje. Szkoła nie jest kosmitką. Wyrasta z naszej, polskiej, współczesnej kultury. W tym przypadku kultury neoliberalnej, nastawionej nie tyle na holistycznie rozumiany sukces życiowy człowieka, ile na konkurencję. Chodzi o to, by wygrać. Nieważne, na jakiej trasie. Dla zdecydowanej większości należących do tej kultury uczniów i rodziców nie jest istotne, jaki realizują program. Ważne, żeby wygrali. A statystycznie biorąc, wygrywa nie ten, kto się buntuje, lecz ten, kto się lepiej dostosuje.

Bez względu na to, jak absurdalne i dysfunkcjonalne dla rozwoju młodego pokolenia byłyby więc układane w ministerstwie programy, rodzice i uczniowie będą się domagali, by szkoła je realizowała.

A programem szkoły nie jest oficjalne minimum programowe, które formalnie zostawia uczniom i nauczycielom dość dużo swobody, lecz prawdopodobna zawartość ministerialnych testów wieńczących każdy etap edukacji i dających (lub nie) przepustkę do odpowiedniej jakości szkół na wyższym poziomie. Dla pojedynczych uczestników systemu nie jest ważne, jaka wiedza jest przekazywana. Ważne jest, by nauka prowadziła do sukcesu „na teście”.

Testomania wyrasta z pesymizmu antropologicznego, czyli (dzielonej z konserwatyzmem) wiary, że ludzie są źli - leniwi, tchórzliwi, egoistyczni i chciwi. Za tą wizją idzie przekonanie, że dobry porządek musi być oparty na przymusie. Ład edukacyjny także. Nie ma co liczyć na ciekawość uczniów ani na nauczycielską pasję czy powołanie. Argumentem są tylko pieniądze.

Wiara neoliberalna zakłada, że nauczyciele uczą. wyłącznie po to, żeby zarobić na życie (podobnie jak lekarze leczą tylko dla pieniędzy itp.), a uczniowie uczą się wyłącznie po to, by zdobyć lepiej płatną pracę. Kulturowa siła doktryny sprawia, że wiedza na temat faktycznych motywacji - samorealizacji nauczycieli, ciekawości uczniów - nie ma specjalnego znaczenia.

Wiara jest tak powszechna i silna, że nie liczy się z faktami ani ze szkoda mi, które powoduje. Jej wyznawcy trąbią, że nauczyciele to banda dojących budżet leni i nieudaczników (podobnie - lekarze to łapówkarze etc.), chociaż wiadomo, że rujnuje to ideę szkoły jako miejsca, gdzie uczeń spotyka mistrza, by stać się lepszym człowiekiem (podobnie - ideę szpitala, gdzie pacjent spotyka lekarza, by być zdrowszym). W takim kulturowym kontekście uczniowie i rodzice patrzą na nauczycieli z wyuczoną pogardą lub współczuciem i oczywiście tracą do nich zaufanie. Niepotrzebnie, bo według prowadzonych różnymi metodami badań faktyczny czas pracy przeciętnego polskiego nauczyciela wynosi 45-46 godz. tygodniowo przy 18 godz. zajęć tablicowych (poloniści faktycznie pracują dłużej, a wuefiści krócej), zaś nauczyciel na wszystkich szczeblach kariery zarabia mniej niż awansujący w sklepowej hierarchii sprzedawca. Czyli pieniądze nie są najważniejsze.

System abstrahuje od „szlachetniej-szych” motywacji i drzemiącego w nich potencjału. Podobnie jak nie próbuje rozbudzić, wykorzystać i uszanować ciekawości jako najskuteczniejszego mechanizmu uczenia się. Opiera się niemal wyłącznie na dyscyplinie oraz utylitarnej motywacji uczniów, którzy od początku słyszą tylko, że muszą przejść testy lepiej

niż koledzy, żeby zdobyć miejsce w korporacji. Wiedza jest jak morska woda, której uczeń ma na wyścigi wypić jak najwięcej, zanim zwymiotuje. Pedagodzy, psychologzy, fizjolodzy mózgu wiedzą, że takie motywowanie uruchamia tylko pamięć krótkotrwałą, zabija ciekawość (polskie dzieci tracą ją w pierwszych latach szkoły), niszczy zdolność do kooperacji i budowania więzi społecznych (malejącą z klasy na klasę), osłabia samodzielność oraz kreatywność.

System testowy wpycha edukację w mechanizm unifikacji, według którego działały XX-wieczne fabryki. Jedna z dolnośląskich szkół opracowała nawet szkolne ISO (na wzór niemieckich norm inżynierskich), standaryzujące czynności, które mają prowadzić do wytworzenia prawidłowego produktu (tu: ucznia). Bo uczeń, który ma oceny niedostateczne i wagaruje, to produkt wadliwy. Nie ma znaczenia, jakim jest człowiekiem, czy ma pasję, czy jest kreatywny, samodzielny, otwarty na innych. Zgodnie z edukacyjną obsesją liczy się tylko to, co łatwo policzalne, choć w realnym życiu ważne jest głównie to, co niepoliczalne.

Kluczem do systemu jest kult pozornej użyteczności. Szkoła ma uczyć tego, co przydatne na rynku pracy. Ponieważ nie wiadomo dokładnie, jaka wiedza będzie komu przydatna, do uczniowskich głów pakuje się, ile wlezie. Efekt jest odwrotny od zamierzonego. W zakutych głowach mało co utrzyma się dłużej niż parę miesięcy. Nauka, a nawet jakakolwiek lektura kojarzy im się tylko ze znienawidzonym, nudnym i bezsensownym kuciem. Niechęć do nauki, wiedzy, czytania zostaje na zawsze.

W dorosłość i na rynek pracy wchodzi więc ludzie, którzy mało umieją, a nie lubią i nie potrafią się uczyć ani twórczo, samodzielnie myśleć. Gotowi są tylko zaliczać potrzebne w CV kursy oparte na szkolnej zasadzie 3xZ. I nie są zdolni do nawiązywania ani utrzymywania autentycznych, opartych na ciekawości i afirmacji więzi, które są podstawą sukcesu w ponowoczesnym świecie. W go-spodarce także. W ich emocjach dominuje konformizm i nieufność. Dokładne zaprzeczenie tego, czego potrzebuje współczesna demokracja i gospodarka oparta na wiedzy.

Nawet jednak, gdyby uczniowie na zawsze zapamiętali wszystko, co wykują, i tak na wiele by im się to nie zdało. Bo przy dzisiejszym zaawansowaniu wiedzy, specjalizacji i tempie zmian społecznych kluczową kompetencją jest chęć i zdolność do ciągłego zdobywania nowych umiejętności. Czyli to, co oparta na konformizmie, rywalizacji, kuciu i zmajoryzowana przez system testowo-erudycyjny szkoła w swoich uczniach zabija. Sto lat temu ukończenie szkoły albo studiów wieńczyło proces zdobywania wiedzy i kompetencji. Teraz go zaczyna.

A jednak kompletnie nie zgadzam się z prof. Janem Hartmanem, który w „GW” napisał, że szkołę lepiej zamknąć, bo już się jej nie da naprawić. Trzeba walczyć o jej usensownienie. Czyli o zmianę modelu z adaptacyjno-erudycyjnego (kucie-dyscyplina-testy) na emancypacyjny (ciekawość-myślenie-współdziałanie). By w obecnej kulturze zrobić ważny krok w tę stronę, konieczne są trzy decyzje.

Radykalne ograniczenie faktycznie obowiązujących programów (erudycyjnych wymagań egzaminacyjnych), rezygnacja z testów (w tym powrót do egzaminów ustnych pozwalających ocenić coś więcej niż zasób pamięci krótkotrwałej) i przesunięcie akcentu z dydaktyki na pedagogikę, czyli z ambicji szkolenia siły roboczej na wychowanie ludzi.

Jeśli chcemy żyć lepiej i skuteczniej konkurować z innymi społeczeństwami, szkoła nie może być fabryką młotków i gwoździ. Musi być społecznym procesem włączania kolejnych pokoleń w kulturę i cywilizację pędzącą ku nieznanej przyszłości. Ten proces wymaga czasu. Ale nie lat ślęczenia nad podręcznikami i męki w ławach, pod którymi uczniowie grają na smartfonach, lecz tysięcy godzin spędzonych na wspólnym poznawaniu świata, interpretowaniu go, odkrywaniu znaczeń, kształtowaniu nawyków poznawczych i kooperacyjnych, wzmacnianiu ciekawości, wyzwaniu indywidualnej i grupowej kreatywności. Erudycyjna kompetencja, na której system edukacyjny jest dziś skoncentrowany, musi być w nim obecna tylko w takim stopniu, w jakim może być skutecznie objaśniona i przyswojona. Reszta to gra pozorów służąca udawaniu, że szkoła oferuje uniwersalną wiedzę, a uczniowie ją zdobywają. Nie ma sensu dalej tej gry toczyć.

JACEK ŻAKOWSKI

W tekście wykorzystałem opracowanie Społecznej Akademii Kultury, która jest częścią programu Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław 2016